Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 15. Poznań, dnia 8. Lipca. **1844.**

POEZYJA.

FRAGMENT.

Są ludzie
Co żyją krwawą pracą rachując godziny,
Nie mając czém pocieszyć skołatanéj piersi,
Nie mając czém nakarmić zgłodniałéj rodziny;
Co w boleściach, w cierpieniu, w niedostatku, w głodzie,
Trawią godziny życia, na cudzéj zagrodzie,
Spruchniałéj, powspieranéj, jakiém jest sumienie
Braci — ludzi, co z cudzéj pracy i cierpienia,
Wysnuwają obfitość, dostatek i mienie
I wszystko —
prócz zbawienia
I nieśmiertelności! —

A dziwno! bo choć bieda wystercza gołémi,
Rączętami i pierśmi wygłodniałych dziatek,
A matka, żona, łzami twarz zléwa krwawemi,
Patrząc na dzieci boleść, nędzę, niedostatek;
A ojciec jak Chrystusów krzyż wielkich boleści,
Dźwiga ciężar ofiarny pracy i poświęceń:
Dziwno
Że mimo tylu nędzy i dolegliwości,
Nieszczęsnego nadzieja zmartwychwstania pieści!

I chociaż widzi życia smutne przeznaczenie:
Uchodząc duszą w nieba wysokości
W ciemnicach grobu znajduje zbawienie —
Więc bez rozpaczy, bez skargi, cierpliwie
Niesie w grób cisnąć spracowane kości
Z wiarą: — że z cierni okrutna korona
Nieśmiertelności ogniem spromieniona
Zwycięży przyszłość i niebo!....

†

Rok siodmy.

Dzień 23. Czerwca.

(Dokończenie.)

Gdy głęboko zadumany, wśród coraz głośniéjszéj burzy, wracałem zwolna do mojéj gospody, na wnijściu do lasu dojrzałem idących tąż drogą kilku ludzi; pospieszyłem — było ich czterech, a między nimi moja zażyłość, leśniczy który często przychodził do karczmy i nie jedną mi szklankę dopomógł wychylić. Teraz miał on na sobie lisią kurtę, torbę i długą rusznicę; trzéj inni, wieśniacy z okolicy, okatani byli w siermięgi.

— Wszelki duch pana Boga chwali! — zawołałem z daleka: a dokąd że cię to miły łowczy licho niesie o téj porze?

— »A toć widzi ta — niegdzie, ino że do lasa«

— Doskonałą wybrałeś do polowania porę! . . . A chyba że wynalazłeś skarb pod owym wielkim dębem, coś mi ongi pokazywał, i idziesz w nocy zabrać go kryjomo?

— »Wynaleść, nie wynalazłem ci, — ale cóżbyś téż powiedział gdybym powrócił bogaty jak sám turecki cesarz?«

— Tam do tysiąca djabłów! doskonały widzę interes. A niemożnaż by z wami iść na tę wyprawę? — Klnę się samym Lucyperem, że przestanę na setnéj cząstce tych skarbów.

— »Jeżeli chceta, to wędrujta z nami; ino ostrzegam, że jeśli w was niebardzo stateczne serce, to lepiéj idź ta sobie spokojnie do domu, — bo nie lada tam strach będzie,« odezwał się jeden z włościan.

— Za cóż to wy mnie przyjacielu macie? — Wierzajcie, że choć djabłu na miejscu dostoję: i dla tego idę z wami.

— »Ino tak często nie szafujcie djabłem, bo będziecie go mieć dosyć jak sam niewołany przyjdzie.«

— Wszystko to dobrze, — zapytałem idąc — moi mili bracia? ale powiedźcież wreście co robić będziemy?

— »Oto widzisz, — rzekł leśniczy, — Antek tyle nam dzisiaj nagadał prześlicznych rzeczy o kwiecie paproci, co kwitnie o samą północ, tyle dziwów i historyi, żeśmy się wreście odważyli iść czekać w nocy póki niezakwitnie; a może się téż człowiekowi uda na raz dostać kwiat cudowny.« —

Nie mówiąc już więcéj słowa szliśmy, za prowadzącym nas strzelcem, wązką jemu tylko znaną ścieżką, dopóki drąc się przez gąszcze i przeskakując butwiejące kłody nie przybyliśmy w najtajniejszą ustroń boru. Ogromne, po większéj części na pół spróchniałe sośnie splatały tu się w nieprzejrzane sklepienie; — wśród nich, bezładną mięszaniną wikłał się gąszcz brzóz, jałowców i cierni; — ziemia cała zawalona szczątkami odwiecznych drzew i świeżo połamanych od wichrów gałęzi. W pośrodku takiéj paszczy, w szczupłem od zarośli wolnem miejscu, zatrzymał się nasz przewodnik, oświadczając że tu czekać będziem północy. Natenczas ów parobak, co namówił na wyprawę, zrzucił ze siebie siermęgę i czarnoksiężkich jął się przygotowań. Przedewszystkiem, kazał nam naznosić gałęzi i ułożyć je w trzy stosy; co kiedyśmy dokonali, dobył krzesiwa i podpalił je koleją. Następnie, z mieszkiem w ręku, stanął w pośrodku trzech ognisk i na każde porządkiem rzucił po trzykroć garść poświęconego jałowcu, plując za każdą garścią i mrucząc niewyraźne zaklęcia, z których zachwycić ni słowa niemogłem. Kiedy te gminne klątwy odprawiał, oczy wszystkich nas zwrócone były na jego lica — a wyraz ich, blask oczu i cała postawa nadawały czynności jego wybitną cechę prawdy. Włosy miał długie, ciemne, — twarz wydatną, chudą, ściągłą, ogorzałą: teraz na twarzy téj i czole jaśniała zuchwała odwaga, ta pewność i zaufanie w sile swéj, co śmiało wyzywa do walki potęgi piekielne. Był on, jak się potem dowiedziałem, synem słynnéj u siebie wróżki, żyjącéj dotąd, a wnukiem spalonéj niegdyś czarownicy: powszechnie wierzono w jego umiętności głębokie i siłę zaklęć, uszanowanie jednak które wzbudzał nie łączyło się z trwogą, znana była bowiem poczciwość, szczérość i przyjazne serce Antoniego. — W tym dniu, zrobił on i na mnie silne wrażenie: wiara jego podbiła mnie i rozbroiła dotychczasową krew chłodną, tak że jeśli nie z ufnością moich towarzyszy, to przynajmniéj nie bez tajemniczego drzenia patrzałem na jego obrządki. — Teraz wziął on z rąk strzelca rusznicę i na wiatr wypalił: huk rozszedł się dokoła i spłoszył siedzące wśród gałęzi sosen gromady kruków, wron, kawek. Krążąc na okół ogniska, niepewnym lotem wzbiły się nad głowy nasze, kracząc przeraźliwie i złowrogo, podczas gdy guślarz wystrzelonéj rusznicy końcem zakreślał na ziemi trzy koła — jedno w drugiem.

— »No! chodźcież do mnie — już wszystko gotowe! — zawołał kładąc strzelbę na ziemi i zgarniając trzy ogniska w jedno. Siadajcież tutaj i słuchajcie mnie. — Otóż pamiętajcie sobie, że choćby na was przyszedł niewiem jaki strach, choćby pioruny na nas leciały, choćby się otwiérała ziemia pod nogami, żeby się żaden krokiem z tąd nie ruszył: — bo jak choć jeden wyjdzie po za koło, wszystko się na nic nieprzyda, a jemu wielkie może się trafić nieszczęście. Czasami bywa, że czort się bierze na sposób i ludzkim głosem albo jak chce oszukać człeka; toż pamiętajcie się nie dać zwieść, i choćby się wam dusza rodzonéj nieboszczki matki pokazała, niewiérzcie w to co wam powié — wszystko to djable tumany.« —

Przyrzekliśmy święcie słuchać tych przestróg i otuleni w siermięgi zasiedliśmy u ogniska. Strzelec z torby wydobył gorzałkę, sér, chléb i masło; a tak grzejąc się ogniem i jak żar silną wódką, naprzemian wiedliśmy rozmowę lub opowiadanych słuchali baśni. — Ale w krótce przerwał nam straszliwy łoskot burzy srożejącéj; — grad z deszczem ulewnym zmięszany przebił się przez lasu sklepienie i bił w nas przemaczając do nitki, a grzmot nieustanny piorunów padających jak rotowy ogień własne zagłuszał wyrazy. Gęste błyskawice — to czerwone jak krew — to jak słońce ślepiące, krzyżowały się po niebie i rzucały płachtami światło na czarne tło boru. — Na raz znowu, umilkała burza i słychać było tylko tajemniczy szum lasu. Raz gwar jakiś oddalony, dziwny niby wrzawa powstających tłumów Ludu słychać, — to znów jak gdyby starcie dwu wojsk — trzask i jęki konania.... Cisza znów — aż coraz, coraz bliżéj dochodzą wyraźne szepty, jakby tentent stąpań licznych; czasem zawyje chór przeraźliwy, zaśmieją się sowy głośno — i znowu wszystko ucichło. — Wyraźnie las cały roi się żywemi istotami, wyraźnie otacza nas świat jakichś czarów i potęg złowrogich; a w nawałnicy zmięszanych różnodźwięcznych głosów dzikich tonie myśl i rozwaga, — wyobraźnia rozpalona puszcza się swobodnie, z szalonem jakiemś upojeniem, bujać wśród oceanu tych straszliwych dźwięków.... Z zimnym dreszczem oczekiwania i obawy wlepiliśmy oczy w czarną czeluść gęstwiny; a z każdym bliższym wichru poświstem już — już zdało się że ujrzym okropne cudo. Każda gałąź strzaskanéj blisko białéj brzozy chyląca się ku ziemi, zdawała się ręką widma spadającą na głowy nasze: i wyznaję, że gdyby w téj chwili z pomiędzy drzew, na ognistym swoim rumaku, wyjechał potępiony my-

śliwiec, albo wybiegło larw koło — nieździwiłbym się wcale tem zjawieniem. Tak silne było nastrojenie fantazyi, tak niespokojne jéj oczekiwanie. —

Aż oto, tuż przy nas zazgrzytało — jakby zgrzyt zębów potępieńca; zaszumiało — jak śmieli djabli; i słychać trzask — jakby rozdzierającéj się ziemi! Ogromna sosna z ziemi z korzeniem wydarta, druzgocząc otaczające drzewa, chyli się na głowy nam. — W rzeczywistéj trwodze, rozbiegliśmy się spłoszeni: w moment potem ciężka kłoda upadła z hukiem i ognisko rozprysło się iskr milionem....

Kiedy zgroza trwogi przeszła i wróciliśmy do przygaszonego stosu, zastaliśmy siedzącego na swém miejscu Antoniego, jakby się krokiem nieruszył spokojnego; — sosna leżała o parę piędzi od niego. Czy w saméj rzeczy odważny swą wiarą dotrwał kiedy myśmy zbiegli i cudem ocalał, czy podczas gdy nikt nieważał wrócił i zajął opuszczone stanowisko? niewiem.— Wyrzucał nam on, żeśmy się dali zastraszyć pierwszéj zaraz djabła próbie i przez to utracili skarb nieporównanego kwiatu; zaręczając, że gdybyśmy zostali włos by nam z głowy niezginął i tak jak jego sosna dotknąć by nie mogła żadną miarą...

Gdy tym sposobem wszystkie nadzieje spełzły na niczem, strzelec napowrót wyprowadził nas do drogi. Tu rozstaliśmy się pożegnawszy oni ku wsi, ja do bliskiéj wróciłem gospody. —

Przez sen, wszystkie wrażenia nocy dziwnie poplątane snuły się po rozpalonéj méj głowie, a kwiat cudowny paproci grał główną rolę w tych wszystkich widziadłach. — Tak po nad samem świtaniem, śniło mi się że dotrwałem tysiącowi trwóg i zerwałem paproć rozkwitłą: za jéj pomocą wygrzebywałem z ziemi niezliczone skarby i skryte w lochach zamczysk zburzonych oręże, — zbroiłem w nie lud wsi pobliskich, — a potem w noc ulewną i straszliwą jak ta co minęła, zatykałem chorągiew nad murami wielkiego, dobrze mi znanego miasta...

✣ ✣

✣

Biały dzień rozpłoszył te senne widziadła. Noc upłyniona stała teraz przedemną jak wspomnienie z innego świata, jak sen pełny wieszczego widzenia — Kiedym sobie przypomniał całą naszą wyprawę, tę silną wiarę z jaką towarzysze moi szli szukać cudownego kwiatu, zadałem sobie pytanie: jakim sposobem ta wiara dotąd tak czerstwo utrzymać się może? Od iluż to wieków trwa już to dziwne podanie, ileż go razy nie usiłowano doświadczyć, a przecież zawsze na próżno; — i jakaż więc przyczyna że Lud, jeszcze długiemi nie nauczony zawody, dotąd mu ufa? — Bo dla gorących żądz Ludu niewystarcza ta wiara co za życiem całem cierpień i poniżenia dopiéro mu przyrzeka nagrodę, bo on czuje że mu należy być potęgą tworzącą wśród świata. *)

20. Czerwca 1843.

Roman.

KRYTYKA.

ROK 1843.

pod względem

oświaty, przemysłu i wypadków czasowych.

(Ciąg dalszy.)

W jędrnéj, z dokładną znajomością rzeczy napisanéj rozprawie *»Przegląd literatury słowiańskiéj z r. 1842«*, kreśli i ocenia dobitnie *Wojciech Cybulski*, obejmujący katedrę języków i literatur słowiańskich przy uniwersytecie berlinskim, ruch literacki po całéj Słowiańszczyźnie obecnie budzony. Literaturę polską wyłączył autór. — W tém tylko niezgadzam się z szanownym autorem, że, jak pisze na str. 76, słowiańscy mieszkańce Luzacyi (raczéj Łużyc) *»mimo wszelkich usiłowań utrzymania się przy swéj narodowości, niejako«* przeznaczeni są *»na zniemczenie«*, Ocknione od niedawna w górnych Łużycach uczucie narodowości, w sercach młodzieży rozpromieniło się do takiego zapału, że z pewnością od pokolenia do pokolenia Serbowie górnołużyscy opędzą się otaczającéj i naciérającéj na nich niemczyźnie. Młodzież kształcąca się w naukowym zawodzie, pielęgnuje narodowość, a lud wieśniaczy w czasopiśmie *»Tydżeńska Nowina«*, z którém regularnie co sobotę lud okoliczny z Budysyna, który się stanie ogniskiem Serbszczyzny górno łużyskiéj, powraca do domu, znalazł środek, przypominający mu wciąż mowę ojczystą. Spodziewać się też można, że wydawana przez *Jordana »Jutrzniczka«*, która po wyjściu drugiego zeszytu przygasła, pod nową redakcją

---

*) Piękny ten, w poezyę narodową, tak bogaty utwór, wyjątkiem jest z dzieła Wspomnienia Mazowcza które nasz szanowny współpracownik w krótce do druku podać zamyśla. R. T. Ł.

Smolerja najlepszym dowodem będzie wzmagającéj się narodowości górnołużyskiéj. — Dolne Łużyce, stanowiące całość tak pod względem politycznym, bo należą do Prus, jako i religijnym, bo wszyscy ich mieszkańce są protestantami, dotychczas zupełnie uśpione, niéma tam ruchu literackiego; ale lud, chociaż w szkołach wcale nie uczą języka ojczystego (tam wszystko po niemiecku): wielkie ma przywiązanie do mowy ojczystéj, we wielu miejscach wcale nie rozumie po niemiecku, czyta nietylko chętnie książki dolnołużyskie, ale kupuje je, nieżałując pieniędzy. Dowodem tego, że z drugiéj edycyji Postyli księdza Fryca, r. 1842 w 1000 egsemplarzach wyszłéj, sprzedano w przeciągu dwóch tygodni przeszło 800 egz. po 10 zł. p. W jednéj wsi, w Bórkowach, kupiono 51 egz. — Inaczéj ma się z górnémi Łużycami. Nie tworzą całości ani pod względem politycznym; bo r. 1815 część ich oderwaną od Saksonii, i do Prus przyłączoną została. Co do religii, w większej części Serbowie górnołużyscy są protestantami; przeszło 10000 zaś jest katolików, z pomiędzy których z 7000 w saskiéj, reszta w pruskiéj części. Dolne Łużyce tak jak górne, z trzech stron otoczone Niemcami; tylko z południa stykają się z górnémi Ł. Związek ten kuszono się rozerwać, osadziwszy na samém pograniczu, w dolnołużyskich wsiach, Żarnowie i Sywyku, księży Niemców i sprowadziwszy niemieckich osadników do parafiji żarnowskiéj; tak chciano rozpocząć zniemczenie Łużyc. Lecz staranie to spełzło na niczém. W Sywylu 10 lat kazywano po niemiecku; ale widząc, że gmina tameczna nie rozumiała ani się nie nauczyła po niemiecku, w miejsce Niemca, przysłano Serba, księdza Jakubaszka, który dotychczas kazania miewa w ojczystym języku ludu tamecznego. Katoliccy górnołużyscy Serbowie w części do Saksoniji należącéj, w nieustannych stósunkach są z Czechami, choć nie sąsiadują z nimi; bo ich księża uspasabiają się w Pradze w seminaryum duchowném dla Wendów. — Znaczna różnica między językiem dolnołużyskim, zbliżającym się do polskiego, a górnołużyskim, podobnym do czeskiego i małorossyjskiego, na przeszkodzie jest Dolnołużyczanom, aby czytali czasopisma górnołużyskie, wydawane przez księdza protestanckiego *Seilera*. Z nich jedno, »*Tydźenska Nowina*« czyli Tygodnik, treści rozmaitéj, zabawiającéj jako i nauczającéj, wychodzi w Budysynie (w Saksoniji); drugie, wydawane kosztem towarzystwa w Berlinie zawiązanego w celu rozszérzenia chrześciaństwa wyznania protestanckiego, pod tytułem »Misionske poweszje«, czyli wiadomości historyczne i t. d. o rozszérzaniu protestantyzmu między poganami, równie jak dzieje protestantyzmu, wychodzi co miesiąc po arkuszu w Wojerecach (w Prusiech). —

Zajmująco kreśli *Władysław Wężyk*, życie polskie w Poznaniu, w artykuliku pod tytułem: »*piérwsze wrażenia podróżnego.*«

Trzeci zeszyt rozpoczyna lichota nielada pod szumnym tytułem: »*Monopol majątkowy we Francyi, jako podstawa społecznych jéj stosunków w ostatnim lat dziesiątku*«, przez W. M. Tytułowi wcale nie odpowiada treść artykułu; bo to są same z trzech pierwszych tomów dzieła Ludwika Blanc pod tytułem: »Revolution française, Histoire de dix ans, 1830—1840« nieraz żywcem przetłumaczone wypisy o lipcowém powstaniu i następnych wypadkach, poprzedzone krótkiem, nietylko niedokładném, ale po większéj części zupełnie fałszywém skréśleniem przez samego autora epoki od 1789—1814, któréj Blanc nie obejmuje. — Tytuł w części nawet śmiészny i źle oznaczony; bo monopolu majątkowego w Francyji niéma. Niémasz tam uprzywilejowanych, którym samym tylko wolnoby było dorobić się majątku, albo go posiadać. — Autór wprawdzie na str. 4. tytuł objaśnia, nazywając monopolem majątkowym panowanie materyalizmu. Przypuściwszy więc takie znaczenie tytułu; gdyby treść artykułu miała być w zgodzie z tytułem: powinienby był autór pokazać, że istotnie tak jest w Francyji, powinienby powiedzieć, czy tak nie ma być, czy może być inaczéj, czy stan taki można wnet zmienić, i jak zmianę taką zaprowadzić. — We wstępie do tych wypisów z Blanka, własnym utworze pana W. M., tenże mnóstwa błędów a nawet niedorzeczności się dopuścił. Przyczyną tego śmiészne znieważenie stanu średniego. Przejął to pan W. M. od Blanka, *) który we zwyż wspomnioném dziele, z wielu względów znakomitém, sadzi się na przyganienie i poniżenie średniego stanu, czyli raczéj

*) Że nieraz mąż całkiem wylany dla ludu, chcąc zasłaniać mniemane szczęście ludu, przyczynia się mimowolnie do tego, że lud nie może się dobijać lepszego bytu duchowego i materyalnego, mamy przykład z Blanka. Tenże gorący i szczéry przyjaciel ludu w swojéj miłości ludu tak dalece się zapędził, iż się w tomie I, str. 270 oburza na rozsądnego księdza Chaleta, który język francuzki chciał zaprowadzić do liturgii w kościele katolickim we Francyji. Staranie jego uważa Blanc za »*schizma bez znaczenia, bez umysłowéj wartości, gdyż modlitwę wznoszącą się do Boga z głębi dusz niewinnych (?!) obnażał z mystycznéj zasłony, z poezyi.*« — Więc czy to stanowi szczęście ludu, iż odurzony kadzidłami słyszy modły, których nierozumie? — Nasz dobroduszny pan W. M. podziela owo zdanie Blanca, bo powtarza je, nieoświadczając się przeciw tak wstecznéj myśli.

P. A.

mieszczaństwa pracowitego i oraz mniéj więcéj znaczny majątek posiadającego. Mógłbym się tu rozwodzić nad znaczeniem tak zwanego stanu średniego, t. j. że on jest i powinien być jądrem każdego narodu, — ale zostawiam to na czas późniejszy, bo w krytyce Roku 1844 przyjdzie mi stanąć w obronie téj szacownéj części obywateli krajowych *) Między innemi śmiesznościami, utrzymuje pan W. M. na str. 5, że stan średni nie stanowił rzeczywistéj części narodu francuskiego; że tylko szlachta i lud (t. j. wiejski) byli rzeczywistą Francyją. — Kreśląc autór w kilku rysach rewolucyją francuską, nakręca wszystko na korzyść ludu z ujmą prawdy i uszczerbkiem stanu średniego. Lecz o tém też późniéj. —

Następuje rozprawa pod tytułem: »*Rzut oka z historyi na stanowisko Słowian,*« przez *Jędrzeja Moraczewskiego*. Kreśli autór krótko zebrane dzieje Słowian, dobrze i trafnie rozwinięte. Widać, iż autór głęboko zastanowił się nad przedmiotem, bo niejednę nową myśl wydobył. — Tylko w kilku miejscach omylił się autór. Tak n. p. powiada na str. 33: »*zdaje się, że Słowianie stanowią gałąź Skitów.*« Przecież już dawno dowiedziono dostatecznie, iż Skitowie są innego szczepu, jak Słowianie, t. j. mogolskiego. — Na str. 67 utrzymuje autór, że w XIV wieku »*chłop Czech . . był . . zupełny niewolnik*« szlachty. Palacky, **) historyk czeski, powiada, że położenie chłopów czeskich w w. XIV i XV. było pomyślniejszém, jak gdzieindziéj w Europie A Palacky zasługuje na wiarę. — Na str. 71: »*Wiklef przechowywał się podobno i w Czechach.*« Żeby Wiklef dostał się do Czech, tego historya nie poświadcza — Na str. 79. pisze autor: »*Sam Podiebrad był został ścisłym katolikiem.*« Podiebrad był poczciwym husytą; przyjmował komuniją pod obiema postaciami, stósownie do kompaktów bazylejskich, służących Czechom hussyckiego wyznania. Nigdy nie był on ścisłym katolikiem, a nikt go nie uważał za takiego. Sam papież zaszczycił go nazwiskiem *kacerza*. — Na str. 95. utrzymuje autór: »*W Polsce obiérano od wieków królów.*« Niémasz *pewnego* śladu w dziejach, że Bolesława I., Mieczysława II, Bolesława II. i III. *obrano*. — Mówi też autór o *rzeczypospolitéj polskiéj*, któréj przecież w powszechnie znaném znaczeniu tego wyrazu nigdy nie było. Prawda że za dawnéj Polski, mianowicie w wieku XVIII., używano nawet w dyplomatycznéj mowie monarchów europejskich, w jakie stosunki z Polską wchodzących, wyrazu *res publica*, po polsku *rzeczypospolita*.

*) I my wstrzymujemy do tego czasu *nasze* uwagi w tém względzie. R. T. L.

**) Zob. Historya czeska, tom II, oddział II, str. 31 id.

Wyraz ten znaczył zaś w istocie tylko to samo, co francuski *l'etat*, niemiecki der Staat. *Polska była od wieków monarchią mniéj więcéj ograniczoną stósownie do działalności panującego.* Wielu, prawda, utrzymuje, że ona była rzeczą pospolitą szlachecką; ale godziż się zaszczycić nazwą *rzeczypospolitéj* dokazywanie zgraji szlacheckiéj?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODPOWIEDŹ
na
rozprawę: »Powinność i Poświęcenie« w Nrze 9. i 10. Dziennika Domowego.

(Dokończenie.)

Daléj powiada krytyk (Dziennik dom. N. 10. str. 77) »Jeżeli autor rozprawki o Miłości własnéj i poświę»ceniu nazywa ludzi, w których miłość ogółu przewa»ża, szaleńcami, utopistami, toć już rzeczywiście nie »wiemy, co u niego może być cnotą. Boć owo su»mienie, *owa jednia egoizmu i miłości ogółu*, czyli mi»łość ogółu zmodifikowana miłością siebie, jest zupeł»nie czczém słowem itd. itd.« — Takich zbrodni nigdym niewyznawał, i tylko złą chęć w krytyku widać, że mi je podkłada.

Podałem następujące kategorye:

1. Miłość własna. 2. Miłość ogółu
egoizm — czysta miłość prawdy — poświęcenie.

Krytyk któryby mniéj lekkomyślnie postępował byłby, zdaje się, mógł już z samego tego szematu poznać, że (1°) miłość własną uważam za jednostronność. — (2°) Miłość ogółu również za jednostronność, a dopiero czystą miłość prawdy za wszechstronność i prawdę; byłby więc od razu mógł wyrozumieć, co ta miłość ogółu u mnie znaczy, byłby sam mógł zrobić sobie to dopełnienie, które przez definicyą ogółu mu teraz podałem:

Podaję bowiém następny szemat:

1. Ogół w szczegółach — 2. Ogół w ogóle
Treść bez formy — Forma bez treści
3. Ogół rzeczywisty w pełni.
Treść z formą.

Wszakżeż dosyć jest jasną rzeczą, że gdy miłość ogółu, jako jednostronność przedstawiam, nie inny mam ogół na myśli, jak *ogół li-ogół t. j. ogół N. 2.* Miłość takiego ogółu jest rzeczywiście utopią, bo taki ogół jest tylko myślą abstrakcyjną, a przecież dowiedliśmy wyżéj, że i krytyk nasz mimo swéj logiczności, do takiego ogółu doszedł, a zatem rzeczywistość mu przypisuje, któréj nie ma. Krytyk sumienny byłby ze mną mógł tylko o terminologią walkę toczyć. Jakém rze-

czy nazwał to mniejsza, wszakby mi wolno było używać za wyraz *cnota*: *szaleństwo*, i bylebym się ciągle téj terminologii trzymał, i wszędzie zamiast wyrazu *cnota* używał: *szaleństwo*, możnaby o mnie powiedzieć żem dziwak, że inne wyrazy wynajduję na rzeczy już nazwane, ale dla tego krytyk powinienby jednak trzymać się aż do końca téj mojéj terminologii i to tylko rozumieć, co ja pod wyrazem rozumiem. Że może nie właściwéj użyłem terminologii, a przynajmnéj nie używanéj w świecie uczonym, to być łatwo może, bo ja do uczonych, jakem obszernie wywiódł, nie liczę się — nazwałem rzeczy tak, jak mi się stósownèm zdawało i bez żadnych wzorów, jak krytyk sądził, ale żem moją rzecz mimo złych nazw nie konsekwentnie przyprowadził, tego przyznać nie mogę, przynajmniéj nie na zarzuty teraźniejszego mego krytyka. Lecz wróćmy do rzeczy.

Zamiast więc pierwszéj formuły w Tyg. str. 37. mógłem był użyć następnéj.

1.	3.
Miłość ogółu w szczegółach,	**Miłość ogółu li — ogółu.**
Czyli ogółu 1^{go}	**czyli ogółu 2^{go}**
Czyli i miłość szczegółu, jednostki	**czyli formy bez treści**
(Miłość własna.)	**(Miłość ogółu.)**
egoizm.	**poświęcenie.**

Miłość ogółu 3^{go}
czyli ogółu w pełni, rzeczywistego
(Miłość prawdy.)

Ma więc krytyk zupełną racyę na str. 70: — „Odróżnienie miłości prawdy i miłości ogółu, jest zupełnie błędne; prawda jest ogółem — ogół (społeczeństwo, naród) prawdą, — domięszanie do miłości ogółu egoizmu jest bezpotrzebnym i chromym eklektyzmem.« — Ale nie ma zupełnie racyi krytyk, gdy mnie te błędy przypisuje, bo z ostatniego szematu najoczywiściéj widzi, że i u mnie *miłość prawdy, i miłość ogółu rzeczywistego* są zupełnie jednoznaczące. Wyjaśnienie com pod wyrazami egoizm i poświęcenie rozumiał, jeżeli nie było jednèm dla krytyka w mojéj rozprawie, teraz samo przez się wykazuje.

Egoizm jest dopiero momentem samowoli u mnie, jest *wykrzywieniem samowolnèm miłosci własnéj*. Wyraz *Poświęcenie* wziąłem jak mi się zdaje, że etymologicznie tłumaczonym być powinien. *Poświęcić się* jest to *zagładzić swoją indywidualność* — poświęcenie więc u mnie wypływa z miłości ogółu jako li-ogółu, to jest formy bez treści. Tak więc egoizm jak i poświęcenie są jednostronnościami. Powiedziałem daléj, że *miłość własna*, czyli stan bezpośredni krytyka, daje nam tylko pojęcie praw ale nie powinności; że miłość formy ogółu bez treści nakazuje nam tylko powinności bez dania praw jednostce, to jest bez nadania rzeczywistości, życia jednostce. Jedno i drugie byłoby jednostronném a dopiero *sumienie* daje nam *normę* życia, która jest jednoznacząca z czystą miłością, z miłością rzeczywistego, organicznego ogółu.

To *sumienie* moje nazywa krytyk *samowolą subjektywną*, wszakże chociażbym nawet mojéj terminologii nie chciał bronić, wątpię aby mógł ktokolwiek pod wyrazem sumienie samowolę rozumieć. Sumienie przecież nazwałem normą życia, a zatém nie moje indywidualne widzimi się jest sumieniem, ale pojęcie ogółu o tém co jest dobrem stanowić winno sumienie także moje osobiste.

Te są kardynalne punkta zaczepki mojego krytyka, które sądzę, że dostatecznie zbiłem, udowodniwszy, że umyślnie czy też przez brak zastanowienia, inaczéj całą rozprawę moją zrozumiał, jak w myśli autora leżała. Pozostaje mi tylko wytłumaczyć się z niektórych mniejszych zarzutów. Zarzut, jakobym się nawet niepokusił o definicyą poświęcenia jest niebaczny. Wszakżeż wyraźnie wyznaczyłem miejsce poświęceniu jako jednostronności, odróżniłem je zupełnie od pełnienia powinności, wypowiedziałem, że innéj cnoty nie znam, jak tylko pełnienie obowiązków. Powiedziałem (str. 44) że poświęcenie w bezwzględnéj idei, oznacza negacyą swojego ja, nie jest wiec żadną cnotą — w potocznéj zaś mowie używa się zamiast wyrażenia: pełnienie powinności, ale powstaję przeciw wyrażeniu poświęcić się — ponieważ jak mi się zdaje, lecz to zresztą rzecz tylko o słowa, — w wyrazie poświęcić się leży, niejaka duma: ten który się poświęca, sądzi że ma jakąś zasługę, że czyni coś więcéj jak powinien: temczasem prawdziwe obywatelstwo zasadza się na tém, aby wszelkie trudy, katusze męczeństwa itd. które podejmujemy, nie uważać jako nadzwyczajne, heroiczne czyny, ale jako proste pełnienie powinności. Prawy obywatel czyni dobrze, nieprzypuszczając nawet, żeby była w tém jaka zasługa. To są moje osobiste zdania, dla czegobym życzył wyraz poświęcenie mieć wymazanym z dykcyonarza obywatela. Gdy daléj mówię, aby nie stawiać ideałów, krytyk przeciwko temu powstaje, toć znowu widzę nie chciał mnie zrozumieć. Cóż to jest ideał? Jest to rzecz nie istniejąca w rzeczywistości: mówimy o ideale piękności itd. aleśmy go cielesnemi oczyma nigdy nie dojrzeli. A zatém przechodząc do praktyki utrzymuję, aby nie stawiać ideałów, to jest postaci *nie rzeczywistych*, lub jeszcze jaśniéj — *nie wystawiaj rzeczywistych postaci w tak promiennèm świetle, że się ideałami być zdają*. Nie mówię aby wystawiać Winkelrieda za wzór — broń Boże! ale chcę aby go wystawiono jako człowieka, który wysoko pojął swą powinność

i wypełnił, ale zawsze jako rzeczywistego człowieka, — nie zaś jako podziw, cudo, półboga-ideał, któregoby trudno dosięgnąć. — Że ta, nie inna myśl moja była, mógł przecież krytyk z tego wyrozumieć, żem wyraźnie powiedział: Religia przedstawiła nam Chrystusa jako Boga i w wątpliwość nam podała, czyli można mu wyrównać.

»To znowu, że autór napomyka, iż z pobudek nie można sądzić o ludziach jest zupełnie podobne do powiedzenia, że ma zasługę, kto nie chcący dobrze zrobi.« Chciał mnie tu krytyk zganić, ale bynajmniéj mu się nie udało, i owszém przyznaje to porównanie. — Jest zasługa, obojętnie biorąc, w każdym dobrym czynie, chociaż nie z własnéj woli popełnionym. To dobro, które jest sprawioném, ten czyn nie jest wprawdzie za sługą dla czyniącego, ale przecież zawsze jest przysługą dla ogółu, *a o to chodzi głównie*. Co innego w życiu rodzinném — tu zaiste na pobudki uważać można i trzeba — ale w publicznych czynach chodzi o czyn sam, nie zaś o pobudkę, zamiar, cel. I bardzo to warto rozróżnić. Skrzyneckiemu zawsze przypisywano dobre pobudki, póki miał opinią publiczną za sobą, chociaż nic nie robił; gdyby zaś naród uważał tylko na czyny przez niego spełnione, a o jego pobudki wcale się nie pytał, byłby dawno uznał, że on nie zdolen był zbawić ojczyzny! Nie chodzi więc w życiu publiczném tyle o to, aby mieć *ludzi cnotliwych*, jak o to aby *czyny były cnotliwe*, a mniejsza o to z jakich one powodów wypłynęły.

W końcu rozbiorę jeszcze rzecz mniéj ważną, to jest terminologią i wykażę że i w tém przynajmniéj nie dziwacznie ale z rozsądkiem postąpiłem.

Każda prawda rzeczywista jest jednią dwóch sprzeczności, czyli jednostronności. Z jakichże jednostronności *ogół* się składa? Oto *szczegół* jest lewą ostatecznością — a *ogół li-ogół* prawą ostatecznością. To rozumowanie naprowadziło mnie do całéj mojéj terminologii. Gdy bowiem następnie biorę pod rozwagę *Miłość ogółu rzeczywistego* jako *rzeczywistą prawdę* — wypada mi ztąd że jednostronnościami téj prawdy są: po lewéj: *miłość szczegółu* — po prawéj: *miłość ogółu li-ogółu*. Miłość szczegółu nazwałem *miłością własną* i sądzę, że zupełnie rozsądnie. Pojmuję bowiem, że człowiek w stanie natury, bezpośredniości, jedném tylko uczuciem jest powodowany, to jest uczuciem, aby siebie od szkód wszelkich zasłonić, a dobro wszelkie do siebie sprowadzać, to jest podobnym instynktem jaki mają zwierzęta, *który to instynkt jest w treści swojéj miłością własną* — nie egoizmem. — Egoizmem zaś nazywam wykrzywienie miłości własnéj i nadaję mu istnienie w tym momencie ducha ludzkiego, gdy ten już pojął ogół, ale się jeszcze od niego wyróżnia, a zatém w momencie samowoli krytyka. Miłość własna jest więc w saméj rzeczy uczucie wrodzone człowiekowi, a zatém naganie podpadać nie może, boć ono przeszedłszy stopnie swojego rozwoju idenfikuje się nareszcie z prawdziwą miłością ogółu rzeczywistego.

Miłość ogółu li-ogółu nazwałem po prostu w skróceniu miłością ogółu, aleć w tém nic nie jasnego być nie mogło, gdyby krytyk tak był przeszedł z rozwagą ciąg moich poprzednich myśli, jakem mu je teraz wyłożył.

Miłość ogółu rzeczywistego w pełni nazwałem czystą miłością prawdy, czém też w saméj rzeczy jest, jak sam krytyk wyznaje.

Wyraz poświęcenie objaśniłem już dostatecznie wyżéj i podałem już powód, dla czego jednostronność, a nie cnotę pod tym wyrazem rozumiem — biorę bowiem znaczenie dosłówne, czyli znaczenie, które w istocie swojéj zdaje mi się leżeć w tym wyrazie. Że powszechnie wyraz poświęcenie inaczéj się rozumie, nie jest żadnym przeciwko mnie argumentem, boć bardzo jest wiele wyrazów w mowie ludzkiéj, które przybrały niewłaściwe znaczenie, z którego dopiero rozbiór filoficzny je wywieść może.

Nareszcie *sumienie* że nie jest samowolą subjektywną, już wyżéj okazałem. Dla czego zaś uczucie i wiedzę czyli kryterium prawości działań uzasadnione na miłości rzeczywistego ogółu, z niego wypływające *sumieniem* a nie inaczéj nazwałem — to tylko tę mam na to odpowiedź, że sumienie w saméj rzeczy, nawet w potocznéj mowie tako się używa. W treści pojmuję więc że sumienie jest miłością rzeczywistego ogółu, temu nigdziem nie zaprzeczył, i owszém z samego rozważnego zapatrzenia się na szemata to wypływa.

Kończąc tę odpowiedź, sądzę że sam krytyk wyzna, że tylko złe rozumienie mojéj rozprawy, które z lekkomyślności pochodziło, mógło go w ogólności do krytyki takiéj spowodować. — Rzecz bowiem obaloną przez tę krytykę nie została i być nie mogła, i owszém w ogólnych pojęciach porozumienie z krytykiem nastąpiło. Nie mogę przeto żegnać krytyka, jak ztą radą, aby do swojéj definicyi krytyki na późniéj jeszcze następny warunek zechciał dołożyć: naprzód trzeba rozumieć i pojąć w zupełności myśl autora, nim go się krytykuje, nie zrozumiawszy, albo wcale nie krytykować, albo też tylko zdanie wyrzec: że autór nie zrozumiale pisał i na tém zakończyć. — Gdy już w innem piśmie publiczném zapowiedziałem nibyto przyjacielowi memu odpowiedź na jego krytykę, oświadczam teraz iż pomyliłem się w osobie — od przyjaciela bowiem, który by mnie znał gruntownie, nie mogłaby była wyjść podobna krytyka. Przyjaciel prawy gdyby był moją rozprawę nawet z początku źle zrozumiał, byłby sam się na tym błędzie poznał, byłby póty dochodził rzeczywistéj myśli autora, póki by jéj nie był wynalazł, a widząc miejsca ciemne i niezrozumiałe byłby podał przyjacielską rękę i komentarzem ale nie zarozumiałą i czczą krytykę, spotwarzającą nie tylko rozum, ale nawet uczucia autora, chciał dzieło przyjaciela naprawić. **W.** —

Doniesienia literackie.

WARSZAWA. Z pism czasowych ważniejszych wyszły dotąd zeszyty lipcowe Biblioteki warszawskiéj, i Pielgrzyma. Biblioteka jak zawsze jednakowa sobie — nie pyła się o teoryę — o politykę — lecz zawsze o życie praktyczne, handel, o nauki przyrodzone i t. d. i nie dziw! bo o coż w Warszawie pozwolono by jéj się

pytać więcéj. — Zeszyt lipcowy nosi także tę barwę — którą pod zachodzącemi tam okolicznościami tylko pochwalać możemy. — Biblioteka warszawska w swoim zakresie szczupłym więcéj bez wątpienia dobrego działa jak pisma niektóre nasze noszące jako godło wyraz »oświaty« a cofające ją, przez gmatwaninę swą dyplomatyczno-jezuicką wstecz. — Zeszyt więc lipcowy zawiera artykuły Zejsznera i Pusza — artykuł opisowy Kraszewskiego, z poezyj Dzień p. Gosławskiego. W Rozmaitościach znajdujemy między innemi »Ślady języka polskiego w mowie ludu Gubernij Archangielskiéj w Rossyj. — W Kronice zagranicznéj. Listy o systemie pokutniczym i karnym w główniejszych krajach obu światów de Lafarrella. Dzieła przez Pacqueur. — Szczególniéj zajmującym jest w zeszycie tém artykuł p. Zeisznera *o podhalanach* czyli góralach tatrowych polskich. — Pielgrzym — oczywiście jak Pielgrzym — błądzi a nie wie że błądzi, — opowiada nam o rozwijaniu się woli ludzkiéj w jéj stósunku z Bogiem (myśl piękna gdyby opracowana i zgłębiona była stósownie do siebie) o śmierci i odrodzeniu J. Przecławskiego (artykuł przez K. Z.) O rozwinięciu się i znaczeniu Monachińskiéj szkoły sztuk pięknych przez A. Celinskiego i t. d. — Oprócz tego wyszły zeszyty 5go tomu na Kwiecień, Maj, Czerwiec, pisma dla młodzieży *Zorza.* — Z dzieł wyszedł 2gi oddział Latarni Czarodzieskiéj naszego Janina. — Z głupich powieści wyszedł tom 3ci powieści *Matylda.* Ostatni dzięki Bogu.

Wydział cenzury warszawskiéj ogłosił iż przejrzał w roku 1843, **600** rękopismów, z tych dozwolono drukować 575, a zakazano 25. Oprócz tego przyjęto 39 utworów dramatycznych. — Gazet politycznych (sic) wychodziło 5. Książek z zagranicy przywieziono 86,786 tomów, z tych zakazano 90, pozwolono z wykreśleniem miejsc niestósownych 80; resztę pozostawiono w zupełności. (Pewnie romanse francuzkie). Oprócz tego *dostawiono* z zagranicy gazet 36 (?) a innych pism peryodycznych 130 (???).

Do dzieł *ważnych* (jak nam donoszą) nie jak n. p. Kraszewskiego, Grabowskiego i innych li chwilową zwykle tylko wartość mających, należy dzieło wyszłe w Czerwcu b. r. w Warszawie znanego Adryana Krzyżanowskiego D. F. Professora Emeryta b. warsz. uniwersytetu p. t. Dawna Polska z stanowiska jéj udziału w dziejach postępującéj ludzkości, skreślona w jubileuszowym Mikołaja Kopernika roku 1843. Dzieło to składa się z 84 stronnic *Przygotowania* z 566 textu, i 270 stronnic *Dopełnień* i Skorowidzem imion i rzeczy w niem zawartych razem z 928 stronnic — czyli 58 arkuszy wielki 8vo drobnem drukiem. Źródłami z których autor czerpał były książki dziś rzadkie i po większéj części rękopisy. — Ponieważ tylko 400 ex., wytłoczono cena exemplarza niemogła być niżéj 36 zł. ustanowiona. Na koniec tłómacze warszawscy i na dzieła dobrych, myślących powieścio-pisarzy się rzucili. Z przyjemnością dowiadujemy się o wyjściu dziełka zacnego Dikensa »Zarysy Ameryki.« Ma ono podobno poprzedzać inne ważniejsze w socyalnym względzie dzieła tego szanownego męża; który w szacie powieści zamierza rozszerzać zasady mające na celu ulżenie nędzy biednéj uciśnionéj a najliczniejszéj części narodu. — Ważnym i świeżym bardzo wynalazkiem jest Akordometr pana Piotrkowskiego w Warszawie, na którego wyrabianie, otrzymał tenże patent od rządu na lat 10. Jest to maszynka do strojenia fortepianów i wszelkich innych instrumentów. Nasz czcigodny Nestor muzyki narodowéj kochany Elsner tak się o téj maszynce wyraża.« Od chwili wprowadzenia i upowszechnienia wynalezionéj przez p. Romana Piotrowskiego maszynki, zwanéj Akordometrem, do strojenia fortepianów i wszelkich innych instrumentów muzycznych, muzyka w dziedzinie harmonij otrzyma nową tak silną i niezachwianą podporę, iż wątpić mi przychodzi czyliby można doskonalszym jeszcze narzędziem świat muzykalny obdarzyć. Maszynka ta, za pomocą któréj każdy najmniejsze o muzyce mający wyobrażenie, sam dziś fortepian będzie mógł nastroić mieści w sobie obok zewnętrznéj ozdoby trwałości i dostępnéj dla każdego ceny, wszelkie insze warunki zalety, jakich najwyższa zgodność i doskonałość muzyki wymaga. O tem przekonałem się naocznie z szczegółowego rozbioru okazanego mi akordometru, którego praktyczne użycie kierując wynalazca szczególnie do strojenia fortepianów, nieprzepomniał dodać i urządzić wszelkich potrzebnych ku temu ułatwień, mianowicie w kluczu oraz maleńkiéj maszynce do robienia w strunach pętli i nawijania na kółki, któremi delikatna nawet płci pięknéj ręka bez utrudzenia władać potrafi. Chlubą jest i zaszczytem dla wynalazcy że obok mozolnych prac ciągłego dawania lekcyj na fortepianie, skrzypcach i śpiewu, pierwszy jenialnym swym pomysłem zdołał odkryć i uchylić tajemnicę dotąd dla niektórych tylko przystępną Szanując wszakżeż życzenie jego, ażeby szczegółowy opis téj maszynki przez czas niejaki w ukryciu pozostał z którym pewnie sam późniéj interessowanych zapozna, winienem tylko (jeżeli głos mój w świecie muzykalnym mieć może jakiekolwiek znaczenie) sumiennie i bezstronnie zdanie moje wynurzyć; że akordometr p. Piotrowskiego, stanowiąc nieocenioną dogodność, zapełni brak jaki dał się czuć przystrojeniu fortepianu i stanie się nie odstępnym jego towarzyszem.«

Sprostowanie.

W Num. 13. str. 101. w. 16. z góry, zamiast *duch ludzki* p. b. *ducha ludzkiego;* w 14tym str. 108 w. 7. z dołu, zam. *zdania swego* p. b. *zdanie swoje;* w temże str. 112. w doniesieniu, zamiast *Roberta* p. b. *Roberta Fiedlera.*

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach, i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*